

Smak dnia

1 listopada 2024

OD TŁUMACZKI: Dzień Wszystkich Świętych jest wspomnieniem o zmarłych. Przygotowałam z tej okazji tłumaczenie miniaturowego fragmentu literatury więziennej, w której odwaga z godnością przewijają się jako główny motyw trwania narodu w najtrudniejszych warunkach wykluczenia poza człowieczeństwo.



Słowo od autora

Nie jest to moja osobista historia, ani historia jakiegokolwiek konkretnego człowieka, choć wszelkie zdarzenia są autentyczne. Każde pojedyncze zdarzenie, bądź ciąg zdarzeń są udziałem przeciętnego Palestyńczyka. Jediną fikcją w tej treści jest jej przeistoczenie do formy powieściowej, która toczy się wokół konkretnych postaci, spełniając oczekiwania fikcji literackiej. Wszystko inne jest realne; ja sam to przeżyłem, znaczną część tego słyszałem z ust tych, co sami doświadczali, czy też słuchali relacji członków swoich rodzin, sąsiadów przez całe dekady o ukochanej swojej ziemi – Palestynie. Dedykuję ją tym wszystkim, których serca nadal trwają w krainie Isra i Mi'raj, od oceanu po cieśninę, a naprawdę od oceanu po ocean.

Smak dnia

Każdego dnia podczas zajęć szkolnych, albo zaraz po nich setki chłopców i dziewcząt ustawiało się w długiej kolejce do punktu żywienia. Drocząc się ze sobą i sprzecząc się podążaliśmy jedno za drugim do momentu kiedy znaleźliśmy się tuż przy dyrektorze ośrodka. Tu zapadała cisza. On siedział za biurkiem, brał od każdego kartkę, skreślał datę i kolejny numer, potem ją zwracał wraz z niewielkim kawałkiem chleba. Inny pracownik wydawał każdemu tacę z szeregiem przegródek, a każda wypełniona była czymś do jedzenia, w tym owoce i legumina.

Z tacą wędrowaliśmy do jadalni, siadaliśmy przy stołach, pochłaniając pyszności. Po zjedzeniu wrzucaliśmy tacki do zmywania przez okienko kuchni, by następnie wyjść odpowiednimi drzwiami. Przy nich kolejny członek personelu przeszukiwał nas czy ktoś nie wynosi jedzenia na zewnątrz, bo ze względów zdrowotnych wszystko należało skosztować na miejscu. Przyłapani na próbie przemycenia jedzenia, musieli pogodzić się z konfiskatą i wyrzuceniem jako nauczka, że spożywanie posiłku ma odbywać się wyłącznie na miejscu.

Ibrahim, mój najlepszy przyjaciel, zawsze był ze mną. W pewien wtorek, a był to dzień mielonego, Ibrahim poszedł ze mną do punktu żywienia. Umówiliśmy się, że spróbuję przemycić dla niego połowę mojej porcji chleba z mielonym w torbie nylonowej, którą ze sobą przyniosłem.

Usiadłem za stołem. Ibrahim oczekiwał na mnie przy wyjściu. Ostrożnie sprytnym ruchem wetknąłem swój kotlet w połowę porcji chleba, schowałem do nylonowej torebki i niepostrzeżenie wsunąłem w spodnie. Zjadłszy resztę swojego posiłku, poprawiając nieco spodnie, skierowałem się w stronę wyjścia. Starając się uniknąć wszelkich podejrzeń podczas przeszukania, cisnąłem swoim talerzem przez okienko kuchni, ruszyłem w kierunku wyjścia, gdzie stała pani Aisha gotowa do inspekcji. Podnosząc obie ręce do góry, odegrałem rolę

posłusznego chłopca poddającego się jej szybkiemu przeszukaniu. Sprawdzony, jako bez zarzutu wyszedłem na zewnątrz, rozglądając się za Ibrahimem, wyciągając zarazem ze spodni przemyconą połówkę chleba.

Właśnie go wyjmowałem, jak pojawiła się trzydziestka chłopaków z rodzin problemowych mieszkających nieopodal ośrodka zdrowia; przezywaliśmy ich Heksos – pasterzami. Kiedy ruszyli w moim kierunku z wyraźnym zamiarem odebrania mi kanapki, bez chwili namysłu zerwałem się, by popędzić co sił w nogach. Po pokonaniu dość długiego odcinka odwróciłem się, żeby sprawdzić, że zgubiłem pogoń. Dokładnie w tym momencie ogromny kamień rzucony przez nich uderzył mnie w oko. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, trzymany w ręce chleb wypadł, brudząc się ziemią. Ściskając w dłoni swoją kartkę, rzuciłem się z wrzaskiem sprintem w stronę matki, póki nie dobiegłem do domu. Spanikowana mama, chcąc ocenić szkodę, odsłoniła oko, które przykrywałem sobie dłonią, by krzyknąć w rozpacz: „Nieee, nie ma oka!”

Schwyciła chustę na głowę i na przemian to niosąc mnie, to znów biegnąc razem popędziliśmy do kliniki UNRWA. Na wejściu zostaliśmy skierowani na oddział oftalmologii. Tam pracował fachowy pielęgniarz. Roztrzęsienie mamy sprawiło, że zapomniała o kartce na żywność, która była podstawowym kluczem do uzyskania jakiejkolwiek formy leczenia. Mimo błagania i całej desperacji okoliczności, personel pozostał nieugięty – nie ma kartki, nie ma leczenia. Siadłem zrezygnowany na drewnianej ławce przed kliniką, a mama popędziła do domu, żeby przynieść tę nieszczęsną kartkę z nadzieją, że zdąży przed zamknięciem kliniki. Kiedy pielęgniarz dał wiarę, że mama niebawem pojawi się z kartką, zawołał mnie i posadził na fotelu. Zaczął od oględzin oka, potem opatrzył je kawałkiem gazy. Siedziałem w miejscu, wyczekując powrotu mamy. Wpadła zdyszana, najpewniej biegiem pokonując spory kawałek drogi. Formalności rejestracji zostały dopełnione, a pielęgniarz zapewnił mamę, że z okiem wszystko w porządku. Troskliwie

ujęła mnie wtedy za rękę i powędrowaliśmy z powrotem do domu.

Przez cały ten czas nie myślałem o urazie oka, ale znacznie poważniejszym problemie, bo moja siostra Fatima podczas zamieszania porwała kartkę żywnościową. Odczułem ten fakt, jakby ktoś właśnie pozbawił mnie drugiego oka, bo w ten sposób pozbawiła mnie posiłków w stołówce... [...]

Mimo że UNRWA dostarczała wiele niezbędnych do życia rzeczy, były jednak sprawy wymagające zwyczajnie pieniędzy. Mieliśmy względnie wszystko, co konieczne, ale sąsiadująca z nami rodzina wdowy Um al-Abd zmuszona była szukać wszelkich uczciwych sposobów zarabiania, a miała na utrzymaniu czterech synów i trzy córki, bo jej mąż zginął jako męczennik. W każdy piątek jej dzieci ryzykowały wędrówkę z torbami do granicy z 1948 roku, gdzie na wysypisku osiedla żydowskiego zbierały stare buty, przeterminowane puszki z żywnością, puste butelki po piwie. Dzieciaki ładowały to wszystko do worków i przynosiły, żeby sprzedać, co tylko jeszcze mogło być przydatne.

Um al-Abd myła butelki, sprzedawała innej kobiecie, ta z kolei zawoziła je do kliniki, gdzie przydawały się do przetrzymywania lekarstw. Czyściła buty, dobierała w pary i sprzedawała na rynku, skąd trafiały do ludzi z obozu. Przychodziła też regularnie co rano do stołówki, by kupić resztki mleka dostarczanego przez inne kobiety, zrobić z niego gęsty jogurt i sprzedawać przed wejściem do szkoły. Dzieci najczęściej nie miały pieniędzy, więc wymieniała jogurt na porcje chleba dla swoich dzieciaków, albo sprzedawała nadmiar, żeby dzieciom kupić coś niezbędnego. Była kobietą dumną ze swego losu, a swoje umęczone dzieci wychowywała z ogromnym poświęceniem i godnością.

Kiedy mój brat Mahmoud został przyjęty na Wydział Inżynieryjny Uniwersytetu w Kairze, nastąpiła wielka radość. Uciechy było co niemiara, mama narobiła słodkości. Potem Mahmoud zaczął przygotowania do wyjazdu. Trzeba było jednak nadal dbać o

utrzymanie straganu z warzywami, żeby pokryć koszty jego kształcenia przez kilka lat. Hassan wprawdzie przejął część obowiązków, ale Mahmoud pracował do ostatniej chwili. Przerwał pracę w przeddzień wyjazdu do Egiptu. Mnie przypadło w udziale przejęcie po nim obowiązków czyszczenia, sprzątania i organizowania pracy w zakładzie wujka.

Autorstwo: Yahya Ibrahim Sin-war (więzienie Beersheba, 2004 r.)

Tłumaczenie: Jola

Zdjęcie: UNRWA

Źródło zagraniczne: książka pt. „The Thorn and the Carnation”

Źródło polskie: WolneMedia.net